№ 55. Poniedziałek, dnia 18 Października 1875 roku. Tom I.

OGNISKO DOMOWE
Tygodnik

WARSZAWA d. 6 (18) Października 1875 roku.

„OGNISKO DOMOWE" wychodzi w każdy Poniedziałek.
CENA PRENUMERATY: w Warszawie: rocznie rs. 4 kop. 50; miesięcznie kop. 38.
„ „ na prowincyi i w Cesarstwie: rocznie rs. 6; —
„ „ kwartalnie rs. 1 kop. 50.

REDAKCYA przy ulicy Mazowieckiej Nr. 1350 (nowy 11).

U OGNISKA.

Jakże tu błogo, jak słodko, radośnie
Z siwemi skrońmi, lub temu co w wiośnie.
Wszystko tu lube opowiada dzieje —
Troskami płacze, wspomnieniem się śmieje,
Gwarzy wesoło o minionéj dobie,
Dziecięcą twarzą przymila się tobie,
Garnie pociechą, daje siłę duszy,
Podwaja szczęście a jęk skargi głuszy.

Patrzaj, jak iskier ulatują snopki,
Jak drewka płoną równiutko, spokojnie.
Tu biegnie dziecię skwapliwemi stopki,
Sędziwy żołnierz prawi cóś o wojnie —
Tu siada ojciec uznojony trudem,
W gromadce dziatek tu matka cóś gwarzy,
Że nad rodziną jest Bóg, z gromem, z cudem,
Co ludzkie dzieła oblicza i waży...

Tu człowiek czuje, tu kocha. Z ogniska,
Co na rodzinę jasnem światłem tryska,
Rosną olbrzymy miłości i czynu.
Tu złote ziarnko kiełkuje wawrzynu,
Tu się los waży milionów—tu Boży
Duch mieszka, który wzmacnia, albo trwoży,
Który wskazuje chwałę lub upadek—
Domowych ognisk niezdrzémany świadek.

Precz ztąd, wy wszyscy, co w zuchwałéj [dumie
Pragniecie roznieść to święte ognisko.
O!... burzyć łatwo... któż zbudować umie,
Gdy byt rodzinny zmieni w cmentarzysko?
Zgaśnie żar Znicza, dymy się rozwieją,
Rozniesie popiół wichr szalonéj burzy—
Któż wtedy ziemi złoty wiek powtórzy:
Tryumf miłości z wiarą i nadzieją?..

St. M. Rzętkowski.

NA MYLNEJ DRODZE,

POWIEŚĆ

W OBRAZKACH Z NASZEGO ŻYCIA,

przez

Krystynę Narbuttównę.

(Dalszy ciąg. — Patrz Numer 54).

Tymczasem Janusz coraz częściej jeździł do Zalesia, a za każdą razą kiedy widział Annę, uczucie jego dla niej wzrastało.

Ubliżającem byłoby dla tego poważnego uczucia, które zawładło duszą młodziana, gdyby powiedzieć że był zakochanym. Słowo *zakochać się, zakochany*, to jakby wyraża szał ślepy, bezwiedny. Janusz pokochał Annę właśnie dla tego, że ją poznał dokładnie i ocenił, a im ją częściej widział, im miał więcej sposobności odkrywać skarby jej pięknej duszy, spokojnego a silnego umysłu, tem miłość jego potężniała i stawała się szczytniejszą, a miłość ta była spokojna bez burz i gwałtownych uniesień, taka jaką bywa cześć sprawiedliwa; na jej trwałość wieczystą można było na pewno rachować.

A jak miłość tych dwojga młodych ludzi była niepowszednią, tak też ich wzajemny stosunek był niezwykły; ku temu przyczyniała się wiele dawna poufałość braterska, która ich od dziecinnych lat łączyła. Charakter Anny zanadto był szczery i prawdy pełen, ażeby mogła i umiała pomimo całej wstydliwości dziewiczej ukryć całkiem przed bacznem już teraz okiem Janka to, że go wyróżniała od innych, że był jej miłym; widział, że miała dla niego szacunek niezwykły, że w chwili jakowejś wątpliwości chodziło jej głównie o jego zdanie; wiedział, że to dopiero przechylało szalę jej przekonania, więc miał dowód, że w niego wierzyła; to wszystko dawało mu wiarę w swoje szczęście i czuł się dumnym, a Annę kochał i czcił coraz bardziej. Anna, jak już wspominaliśmy, instynktem właściwym każdej kobiecie odgadła wprzódy uczucie Janusza i oboje mieli przeświadczenie o swojem szczęściu ale nie śmieli, nie czuli nawet potrzeby rozdrabiania go w słowa i drobne oznaki, któremi pospolici kochankowie tak szafować zwykli, i oboje cieszyli się niezamąconą pogodą swojej doli szczęśliwej. Janusz przestał być gościem w Zalesiu a coraz bardziej wcielał się w dom i rodzinę Gasztoldów.

Razu jednego Janusz przyjechał wcześniej niż zwykle, Gasztolda nie zastał w domu, pani Gasztoldowa smażyła konfitury a Anna swoim zwyczajem była w ochronce. Młody człowiek powitał gospodynię domu, a widząc że zajęta, powiedział że jej przeszkadzać nie chce i pójdzie do ochronki. Nie pierwszy to raz Janusz szedł do ochronki; nieraz całemi godzinami tam przesiadywał i podczas kiedy Anna czytała dzieciom, on tymczasem, to kajety liniował, to twarde palce chłopaków układał do pisania, albo zasłuchany, z głową wspartą na ręku patrzył na śliczną lektorkę i tak mu czas tam dobrze zbiegał, że ani się spostrzegał kiedy parę godzin zeszło. I tym razem szedł spiesznie, przebył prędko niewielką przestrzeń dzielącą dwór od wioski, otworzył cicho furtkę zamykającą podwórko i zajrzał przez okno do domku, ale tam było pusto; gwar głosów dochodził z ogródka, tam więc poszedł Janusz i stanął olśniony czarującym widokiem, który ukazał się jego oczom. Na zielonej murawie pod drzewem stała Anna i trzymając w ręku książkę opowiadała coś dziatwie, co zasłuchana i zapatrzona otaczała ją dokoła. Wysmukła, jasna postać dziewicy ubrana w powiewne fałdy sukni błękitnej, z wyrazem w twarzy łagodnej dobroci, tak nieziemskiego coś miała w sobie, że tylko się zdawało braknąć jej skrzydeł do uosobienia archanioła. Anna wciąż mówiła, chłopięta z ciekawością słuchały a Janusz splótł ręce opuszczone i stał w niemem uwielbieniu: jeszcze nigdy Anny swojej tak uroczo, nieziemsko pięknej jak teraz nie widział; stał nieruchomy, myślą klękał przed nią i radby kraj szaty całował. Któreś z dzieci się obejrzało, spostrzegło Janusza i zawołało nagle: Młody pan ze Starego-dworu! Anna drgnęła, poczerwieniała, po chwili zwróciła się i szła ku niemu a on ciągle stał na nią zapatrzony, a w jego

oku musiało być coś niezwykłego, bo Anna nagle przystanęła zmięszana i oczy spuściła. Janusz podszedł wtedy ku niej, ujął jej rękę a tuląc ją do piersi szepnął z zapałem:

— Anno moja, na co nam próżne słowa, czyż ty mnie i tak nie rozumiesz? a głos jego drgał wzruszony.

— Rozumiem cię Janku, odpowiedziało dziewczę z naturalną prostotą, i śliczne pogodne oczy łzą wilgotne podniosła na ukochanego towarzysza lat dziecinnych. W pałającej źrenicy Janusza błysnęło szczęście.

— A rodzice twoi? zapytał.

— Rodzice moi jak syna ciebie kochają.

— Anno ty moja, czy mogę jutro zapewnić się o swojem szczęściu? pytał prosząco młody Zadora, i wzrok błagalny utopił w jasnem oku dziewicy.

— Dobrze, szepnęła cichutko i zarumieniona spuściła oczki.

— O dzięki ci aniele mojego życia, ty mi będziesz osłodą, wzmocnieniem w pracy i kolejach losu, a w zamian ja muszę szczęście zdobyć dla ciebie! mówił Janusz z zapałem i i pocałunkami okrywał drobną rączkę ukochanej.

Te kilka słów były wystarczające dla obojga, dopełniły one dostatecznie ich myśli, więcej im nie było potrzeba ażeby się zrozumieć i uwierzyć w siebie i we wzajemną miłość. Niech kłamane uczucia, namiętne ekstazy stroją się we frazesa kwieciste, niech się maskują dwuznaczną mową,—dla prawego uczucia tego niepotrzeba, sama prawda jego najwymowniej o niem przemówi. Kiedy przeszła pierwsza chwila uniesienia i młodzi kochankowie oprzytomnieli cokolwiek, Anna wysunęła rączkę z cisnących ją dłoni Janusza i usiłowała powrócić znowu do swego zajęcia. Janusz stał oparty o drzewo i patrzył na nią już jak na swoję i był szczęśliwym. Annie nie szło jakoś i po niejakim czasie wróciła do Janusza.

— Nie mogę już dzisiaj zająć się tutaj, pójdźmy do domu,—powiedziała szczerze z czarującym uśmiechem i poszli. I szli dłoń w dłoni obok siebie, w milczeniu, bo i cóżby sobie mówić mogli? W mowie ludzkiej niema słów tak silnych którémiby mogli wypowiedzieć sobie to co czuli w tej chwili, to szczęście nieograniczone, pełne, rozkoszne, którem biły serca obojga.

Na drugi dzień około czwartej po południu w Zalesiu dało się słyszeć poza bramą kilkakrotne huczne klaskanie z bata, i na dziedziniec wtoczyła się żółta karoca, ciągnięta piątką wilczatych koni w srebrzystych szorach. Woźnica z zakręconym ostro do góry wąsem, w kurcie przepasanej szerokim pasem, długich palonych butach i lakierowanym kapeluszu, dziarsko powoził siedząc na lewym dyszlowym koniu i gęsto walił z bata aż echo szło; na koźle siedział sługa z węgierska przybrany, przypominający postawą i strojem dawnych hajduków. P. Gasztold wyjrzał przez okno i powiedział znacząco patrząc na żonę:

— Podkomorzy Murski jedzie. Pani Gasztoldowa pobladła i złożyła ręce jak do modlitwy, a Anna pokraśniała i wysunęła się cichutko z pokoju. Dojeżdżając woźnica jeszcze raz huknął z bata, konie w podsadach zabiegły przed ganek, kareta stanęła, lokaj zeskoczył z kozła, drzwiczki otworzył i podał ramię podkomorzemu, który powoli wysiadać zaczął.

Strój podkomorzego był równie paradny jak ekwipaż: miał na sobie żupan atłasowy kanarko*ego koloru, i kontusz granatowy przepasany pasem mieniącym się pod słońce różowo ze srebrem, sutą frendzlą zakończonym; przy boku wisiała stara karabela pięknie oprawna.

Gasztold spotkał gościa na ganku.

— Witam szanownego sąsiada dobrodzieja, miłego mam zawsze gościa.

— Czołem, mości dobrodzieju, uniżony sługa łaskawego sąsiada. I podkomorzy pokręcając wąsa, posuwistym krokiem szedł do bawialnego pokoju, i z rycerską galanteryą pocałował w rękę gospodynię domu, poczem zajął wskazane sobie siedzenie; ale za chwilę powstał, pokręcił wąsa i uroczystym tonem w te przemówił słowa:

— Pozwólcie mi acaństwo dobrodziejstwo, że zanim przyjmę u was gościnę, pierwej sprawię ważne poselstwo z którem w wasze tu progi przybyłem. Umilkł na chwilę, odchrząknął i mówił dalej: — Gwoli starodawnego naszego zwyczaju, Janusz Zadora przez usta moje, jako dawnego przyjaciela ś. p. ojca jego, składa u stóp waszych, szanowni państwo dobrodziejstwo, najpokorniejszą prośbę, ażebyście mu powierzyli waszą jedynaczkę na dozgonnę towarzyszkę życia, a ze swej strony przysięga dla niej opiekę i miłość do śmierci. Nie będę wam, wielce mi miłościwi państwo, przypominał dawnych zasług rodu Zadorów, nie będę wam mówił o cnotach i zaletach charakteru młodzieńca, co w tej chwili błaga was ażebyście go za syna przyjęli; znane wam równie dokładnie jak i mnie to wszystko co opinija sąsiedzka dawna i dzisiejsza w tym względzie stanowi; znaliście dzieckiem Janusza, dziś więc w tej ważnej kwestyi stanówcie według waszego rodzicielskiego serca.

Gasztold spojrzał na żonę, pani Gasztoldowa pochyliła głowę a łzy rzęsiste kropla po kropli spadały z jej oczu, sam więc odpowiedział podkomorzemu:

— Znane nam są zdawna cnoty Zadorów, znana nam zacność szanownej matki Janusza i jego samego znamy od dziecka i jak syna kochamy zacnego młodzieńca. Spokojnie i w pełnem zaufaniu powierzymy mu przyszłość ukochanej córki naszej, ale ostateczne przyzwolenie nasze tylko od Anny uczuć i jej swobodnej woli zależy.

— Za moich czasów mości dobrodzieju, rodzice pierwej stanowili o losach swych dzieci nim się młodzi z sobą porozumieć mogli; dzisiaj się dzieje inaczej a może istotnie lepiej: młodzi pierwej badają swoje wzajemne uczucie a potem dopiero o sankcyę dla niego u rodziców proszą. Zdaje mi się że serca Janusza i Anny uderzyły wzajemną miłością i odgadły się nawzajem, z tem wszystkiem radbym w obecności waszej acaństwo dobrodziejstwo jako rodziców, usłyszeć ostateczne słowo panny Anny.

Pani Gasztoldowa wstała i chwiejającym się krokiem wyszła do dalszych pokoi, a po chwili wróciła prowadząc za rękę Annę zarumienioną.

— Anno moja, powiedziała matka, oto pan podkomorzy Murski w imieniu Janusza Za-

U OGNISKA.

III.

Nadzwyczajnie dużo mówiono i pisano o hipokryzyi towarzyskiej, tak że przedmiot ten zestarzał się i nie nęci już nawet pióra felietonisty. — Ale ponieważ czas biegiem swoim nic prawie radykalnie z moralnego świata nie usuwa, chociaż niezmiernie wiele rzeczy przekształca i przeistacza, więc w *przemianach* jego szukać należy ciekawej i nowej strony przedmiotu, a z zastanowienia się nad takowemi, wybłyśnie drogocenny dla *odcinkowego wyrobnika* kwiat, zwany *początkiem felietonu*. Ah! bo każdy początek najtrudniej przychodzi, zawsze i wszędzie; zwłaszcza kiedy ktoś patrząc na olbrzymi *stós* sprawozdawczego materyału, nie wie którą *szczapę* pierwej rzucić do *ogniska*;—czy ma za smolną naprzód chwycić dłonią, czy zacząć od twardego i czystego drzewa. Tym razem wybór zrobiony i nie tracąc tchu w pośpiesznie pędzących nas myślach frazeologicznej natury—powiedzmy, że hipokryzya dziś istniejąca *przekształciła* się w tak dobroduszną moralną poczwarę, tak w nowej swej a powszedniej sukni nieustannie kręci się między nami, tak *przeblagowała się* i tak przebrała miarę, że chociaż istnieje i towarzyszy nam w życiu codziennem prawie nieustannie, nikt więcej na nią nie zwraca uwagi. Bogini,—królowa niegdyś, siedząca niekiedy nawet na świętym tronie opinii, dziś traktowaną jest przez byle dzieciaków i wyrostków z lekceważeniem,—*przez nogę*, jak to jaskrawo określa modny żargon uliczny, wdzierający się do salonów i dobrych towarzystw, z przybierającą falą coraz wykszej pospolitości i brutalstwa obyczajów. Dziś najpróżniejszy nawet człowiek nie wierzy w dworactwo hipokrytów, chociaż nie odtrąca ręki z kadzielnicą posyłającą mu pod nos wonie podchlebstw; dziś, wszystkie zaparcia się, przykrywki, fałszywe stroje, lisie minki, maski i malowidła kładzione na moralne oblicza myśli, twarzy i wyrazów, zbyt dobrze są znane, aby kogokolwiek oszukać mogły, i konwencyonalnie tylko zastępują starodawne formy uprzejmości i dobrego wychowania, coraz rzadszego w młodem pokoleniu. Hipokryzya dziś jest zatem owym nieproszonym gościem, pragnącym zająć miejsce nawet u *domowego ogniska*, bo w towarzyskiem życiu zaaklimatyzowała się na dobre. Tego też zatem jednego stopnia brak jej aby stanąć na szczycie społecznej piramidy, podminowanej tysiącznemi fałszywemi teoryami. Czy matki i żony nasze jej nie odepchną? czy niskie dworki otworzą przed nią na rozcież podwoje? czy pozwolą jej spoufalić się z sobą tak jak się spoufaliła w miastach, w *towarzystwie*? Nie, zaprawdę;—mniemamy i pewni jesteśmy, że

dory prosi o twoją rękę. Zapytajże twego serca dziecię, zastanów się dobrze i powiedz słowo, którego złamać już ci nie będzie odtąd wolno: czy kochasz Janusza?

— Kocham, odpowiedziała dziewica cicho ale pewnym głosem.

— Czy podzielisz z nim jego złe i dobre losy.

— Podzielę — wyrzekła Anna stanowczo i czoło podniosła.

(*D. c. n.*)

Pierwsze zawiązki sztuki w czasach przedhistorycznych.

(Dokończenie.)

Gdy człowiek poznał kruszce i użytku ich się nauczył, zmienił się zupełnie dotychczasowy kierunek jego życia; zmiana ta jednak nie była nagła, a sprzęty i naczynia długo jeszcze zatrzymały swój kształt dawniejszy, tylko pojedyncze ich części coraz lepiej i w sposób coraz odpowiedniejszy ich przeznaczeniu przyrządzać zaczęto. Szlachetne kruszce, a mianowicie złoto, najwcześniej zdaje się były znane; po nich dopiero nastąpiło odkrycie miedzi i żelaza. Tenże sam stosunek zastali Hiszpanie w Ameryce, gdy ją odkryli: mieszkańcy Indyj zachodnich stroili się w złote ozdoby, a narzędzi metalowych nie znali. Kolebką sztuki obrabiania kruszców był Wschód bezwątpienia. WAzyi wschodniej znachodziło się w znacznych ilościach lite żelazo, prawdopodobnie meteoryczne, użycie więc jego nie przedstawiało wielkich trudności; co do czasu jednakże, w którym się ludzie wartość kruszców i ich przymioty cenić i z nich korzystać nauczyli, niepewne tylko istnieją przypuszczenia.

Biblia podaje Tubalkaina syna Lamecha i Zilli, potomka Kaina, jako mistrza w sztuce obrabiania miedzi i żelaza; według tego więc podania, użycie kruszców już pierwotnym ludziom byłoby znane. Złoto i srebro już za czasów Abrahama, a więc na 2,000 lat przed Chrystusem, używane było na ozdoby i jako środek ułatwiający wymianę, jak o tem świadczy pierwsza księga Mojżesza r. 13, w. 2.

Homer i Hezyod znają żelazo; pierwszy z nich nawet z taką dokładnością opisuje sposób topienia metalów, że widoczną jest rzeczą, iż na własne oczy widział całą tę robotę. Według świadectw greckich, około r. 680 przed Chr., Rhoekos z wyspy Samos miał wynaleźć sposób otrzymywania odlewów kruszcowych; następca jego w sztuce Theodoros odlewał już posągi z żelaza, a Glaukos uzupełnił te wynalazki sztuką lutowania. Wyroby inkrustowane, broń i sprzęty metalowe kute, na 1,500 lat przed Chr. tak były rozpowszechnione w Azyi mniejszéj, Fenicyi i Grecyi, że wszyscy panujący i naczelnicy posiadali tego rodzaju przedmioty. Naturalna rzecz, iż ten stopień wydoskonalenia musiały setki lat rozmaitych prób poporzedzić.

W ogólności zdaje się, że we wschodniej Azyi wcześniej i na większą skalę poczęto obrabiać żelazo aniżeli miedź, która znów na wybrzeżach morza Śródziemnego wcześniejsze znalazła zastosowanie. W każdym razie czyste metale wprzód weszły w użycie aniżeli ich mięszaniny, z pomiędzy których najprzód wynaleziono tę, którą dziś „brązem" nazywamy, t. j. mięszaninę miedzi z cyną. Z jakiego kruszcu odlewane były kapitele i sprzęty, których Hiram z Tyru dostarczył do świątyni Salomona, odgadnąć trudno; wyrazu χαλκος (chalkos) używano w starożytności na oznaczenie zarówno miedzi jak brązu.

Za przyczynę dla której w Fenicyi i Grecyi sztuka wyrabiania żelaza pozostała w tyle, uważać przedewszystkiem należy wielką obfitość miedzi w Azyi Mniejszej i na wyspach Jońskich; a zresztą może błyszcząca miedź w handlu była pokupniejszą. Czy mięszaniny kruszcowe wynalezione zostały w Grecyi, czy w Fenicyi, niewiadomo, i rzecz to zresztą mniejszéj wagi; sztuka odlewania w Grecyi zdaje się wprzód była znaną i udoskonaloną. Z Grecyi umiejętność obchodzenia się z kruszcami przeszła do Włoch, zaniesiona tam prawdopodobnie przez pelazgijskich kolonistów, i już w głębokiéj starożytności widzimy kunszt ten szeroko rozwinięty na ziemi włoskiej, w wyrobach do potrzeb handlu zastosowanych. W jakiej epoce kupcy feniccy dotarli do morza Bałtyckiego, gdzie wyroby swoje za bursztyn i futra wymieniali, z pewnością oznaczyć się nie da; — zdaje się jednak, że to nie nastąpiło wcześniej jak około połowy szesnastego wieku przed Chrystusem. Trudno przypuszczać, aby pomiędzy owemi starożytnemi przedmiotami ze złota, srebra i bronzu, które podziśdzień napotykają się w północnéj Europie, znajdowały się i fenickie wyroby. Większa ich część wyrabiana była w miastach włoskich fabrycznie, i umyślnie w guście barbarzyńskim, aby dzikim ludom łatwiej do smaku przypadły. Germanowie, Celtowie i Skandynawi nie umieli obchodzić się z kruszcami; o wieku też brązowym i żelaznym u nich właściwie mowy być nie może, gdyż w chwili zetknięcia się z Rzymianami, żyli jeszcze w pełni wieku kamiennego. To, co Tacyt mówi o starożytnych Germanach, odnosi się wyraźnie do całéj zamieszkałej naówczas Europy północnéj: „Górnictwa nie znają; — mówi wielki dziejopis rzymski,—nie wiadomo, czy łaska, czy gniew bogów odmówiły im tego bogactwa." (*Germania—5*).

Przy ocenianiu germańskich, celtyckich i sławiańskich starożytności szczególną uwagę zwracać należy na chwilę zaprowadzenia w tych krajach chrześciaństwa. Dopóki północno-europejskie kraje w pogaństwie trwały, wyroby ich miały mniej więcéj jednostajny ogólny charakter i nie można w nich dopatrzyć się ani wybitnej cechy narodowéj, ani odrębnego stylu. Chrześciaństwo atoli nietylko na zwyczaje i obyczaje ale i na techniczną działalność tak potężny wpływ wywarło, że wyroby pogańskie z łatwością rozróżnić przychodzi od chrześciańskich, i tym sposobem ów peryod przejściowy daje pewny punkt oparcia w oznaczaniu wieku zabytków. W okoli-

---

nie. Każda akcya wywołuje reakcyę. Brońmy się o ile sił nam starczy od hipokryzyi bezdusznej salonów warszawskich, czy to w najarystokratyczniejszych sferach, czy w mieszczańskich kółkach niezgrabnie ją naśladujących. Panowanie jej wynikło z apatyi umysłowej. Otrząśnijmy się z niej i zbudźmy jak z ciężkiego snu.

Życie społeczne podobne jest w tej chwili do szerokiej tafli jeziora, na którem wody opadły. Przez kryształ ich, przez przezroczystą i *płytką* toń widać wszystko co się dzieje w głębi. Cisza u góry—w powietrzu. Żaden wietrzyk nie marszczy fal zwierciadła. A ci którym dane są *talenta*, jak to ewangeliczna przypowieść powiada, ci którzy noszą w dłoni stalowe narzędzie pisma, siewnik prawdy, ci niech sami odtrącają od siebie marę hipokryzyi i z brzegu.... czy lepiej jeszcze z łodzi zdrowego rozsądku i moralnych zasad, spokojnie i cicho zatrzymanej na wiosłach i rudlu, w pośrodku nieruchomych wód.... śledcze, badawcze spojrzenie niech zapuszczają do gruntu, patrząc i dochodząc jakie tam żądze, namiętności, pragnienia, piętrzą się, rosną, ruszają się lub leżą na dnie. Nie należy zniechęcać się tem że widać więcej błota, więcej pełzającej prywaty, zawiści i poziomych zachceń, aniżeli podwodnych skał, któreby dumnie przedarłszy się przez prądy i nurty samolubstwa i apatyi, strzelając ostrym szczytem po nad modrą powierzchnię, w błękit niebieski sięgać zdołały. Potrzeba „dzielnie i twardo stać" jak powiada poeta i „świecić tarczą czynu własną". Bo pisarskie rzemiosło jest czynem i byle tylko nieskrępowanem było spekulacyjnością wydawniczego organu, może mieć swoje znaczenie moralne nawet i w obecnej, pozytywnej chwili walki o byt i tym podobnych realistycznych *mrzonek*, które rownie kruche są jak ideologiczne, bezpodstawne urojenia czasów przeszłych...... Zamki na lodzie, które pierwszy lepszy deszcz wioseny spłucze, rozpuści i rozwali, choć je w mozolnej pracy praktyczne wznosiły ręce.

Deszcz przypomniał nam, że przy moralnych faktach z dziejów kroniki duchowej, stoją fakciki sprawozdawczej natury: że

.....„brwi zmarszczył niebios Pan odwieczny,
Podniosły na głowie nieśmiertelnej włosy,
Wstrząsł się Olimp i całe zadrżały niebiosy,

z górnych bowiem upustów leją się potoki zimnych *prysznicōw*, nawiżające katarami samowładnie panującemi pod czołami i w płucach warszawian. Bo dla pióra felietonisty każdy strumień myśli płynie w stronę wielkiego dziennikarskiego morza, jak w przysłowiu „każda droga wiedzie do Rzymu". Więc i my chciażby z ostatniego korzystając wyrazu mieszczącego sobie nazwę *wiecznego miasta* i stolicyapostolskiej zanotujemy tu, że nowo mianowany biskup dyecezyi

cach nadreńskich i w znacznej części Niemiec południowych chrześciaństwo zakorzeniło się o jakie trzy albo cztery wieki wcześniej aniżeli w Niemczech północno-wschodnich, w Skandynawii i w krajach słowiańskich; w tych ostatnich, mianowicie pogańskie obrządki przy grzebaniu umarłych, utrzymały się aż do XI a nawet XII wieku po Chrystusie. Ztąd łatwo się tłómaczy, dla czego w krajach północnych napotykamy największą ilość i najlepiej zachowanych pomników, znanych pod nazwą grobów Hunnów, dolmenów, kromlechów i t. p. których pochodzenie odnoszą zwykle do epoki przedhistorycznéj, chociaż większa ich część już za naszéj ery, a nawet dosyć już późno została wzniesioną.

Zanim się północno-europejskiemi pomnikami zajmiemy, musimy wspomnieć o arce przymierza, którą Mojżesz na użytek służby Bożej koczującym Izraelitom kazał zbudować. Arka przymierza, byłto wielki podwójny przenośny namiot, zbudowany z drzewa jodłowego i tak zrobiony, że go można było rozebrać. Wewnątrz cały był wybity kobiercami jedwabnemi, od zewnątrz okrywała go całkowicie opona z koziej sierści utkana. Reszta jego urządzenia znana jest powszechnie, dla tego pomijamy ją i wracamy do północno-europejskich starożytności.

Rodzaje pomników są tutaj takie same, jak u wszystkich ludów na pierwszym stopniu cywilizacyjnego rozwoju stojących, a mianowicie: kopce z ziemi i kamieni, napiętrzone jedne na drugich surowe głazy, i wielkie, nieobrobione jeszcze, ale już w pewnym porządku, z pewną symetryą rozstawione kamienie. Niektóre z tych pomników są może pamiątkami jakichś wielkich czynów i zdarzeń; przeważnie jednak są one grobowcami, jak tego dowodzą wykopywane z pod nich lub w pobliżu ich przedmioty, jak np. szkielety, popielnice, broń, ozdoby, monety i t. p., które z nieboszczykami grzebać było w zwyczaju.

Pomniki te budowane były zawsze z materyału znajdującego się pod ręką. W okolicach nadbrzeżnych i górskich, gdzie łatwo było o złomy kamienne, wznoszono słupy kamienne i kamienne skrzynie albo stoły, tak zwane: *kromlechy*, *menhiry* i *dolmeny*, — gdy tymczasem w krainach w głębi lądu leżących, najwięcej nasypisk ziemnych, mogił i kurhanów napotykamy. Tego rodzaju zabytki pojawiają się wszędzie, Począwszy od Syberyi aż do wysp oceanu południowego, a jednak w budowie ich nigdzie jakiejkolwiek narodowéj cechy dopatrzyć się niepodobna.

Już o wyższym nieco rozwoju świadczą tak zwane pierścienie kamienne, których przeznaczenie nie ulega najmniejszéj wątpliwości: otaczały one miejsca poświęcone czci bóstwa. Najznakomitsze okazy tego rodzaju zabytków napotykamy w południowéj Anglii gdzie wzniesienie ich przypisują Celtom, chociaż niektórzy budowy te pierścieniowe wiążą z pobytem tutaj Pelazgów i Fenicyan. Najznakomitszy z pomiędzy wszystkich jest taki krąg czyli pierścień z kamieni znajdujący się niedaleko Salizbury, w Stonehenge, który ma 108 stóp średnicy a składa się z poczwórnego szeregu współśrodkowych kręgów. Zewnętrzny krąg składał się z 30 słupów mających mniej więcej 16 stóp wysokości; każda para słupów połączona była u góry poprzeczną również kamienną belką i tworzyła bramę. Następny krąg składał się z mniejszych, a trzeci za to z największych słupów, dochodzących 22 — 24 stóp wysokości. Środkowy punkt tych kręgów stanowił wielki odosobniony głaz, który służył za ołtarz. Na kamieniach znać ślady były pewnego obrobienia, słupy i belki były czworoboczne, a nawet tu i owdzie zdaje się jakoby głazy te były żłobione. Podobne zabytki istnieją również i w Bretanii, gdzie mianowicie kamienne zabytki pod Carnac zwracają na siebie uwagę badaczy. I tutaj także dostrzedz można pewne obrobienie kamieni, a pojedyńcze głazy są tu jeszcze większych rozmiarów niż w Stonehenge, ale rozkładu całości odgadnąć już nie podobna.

I w Niemczech, lubo rzadko, zdarzają się podobne pomniki. W okolicy Eichstadt przed pięćdziesięciu laty odkryto taki krąg kamienny, mniejszy wprawdzie od angielskich ale pod wielu względami bardzo ciekawy. Składał on się ze 100 większych i mniejszych głazów, z których największe mogły mieć do 10 stóp sześciennych, tak ustawionych, że tworzyły linią ślimakowatą, do jońskiéj woluty podobną. Na kamieniach nie było najmniejszego śladu obrobienia, nawet na tym, który tworzył środek ślimacznicy a był niegdyś ołtarzem; za to wydobyto z owych miejsc wiele urn, kamiennych narzędzi i innych przedmiotów. Na nieszczęście, cenny ten zabytek padł ofiarą ciemnoty i chciwości okolicznych wieśniaków. Ponieważ w wielu miejscach wykopano złote zapinki i monety, więc sąsiednich chłopów opanowała formalna mania rozkopywania grobów pogańskich i szukania w nich złota, a ów kamienny krąg został zniszczony zanim nauka zdołała powziąść o nim dokładniejszą wiadomość.

Daleko częściéj niż poprzedniego rodzaju zabytki pojawiają się w Niemczech koliste obmurowane miejsca ofiarne, oraz zabytki twierdz, których mury wzniesione są na sposób cyklopiczny ze średniéj wielkości nieregularnych kamieni, niczem z sobą nie spojonych. Święte miejsca łatwo rozróżnić od fortec, gdyż te ostatnie są zwykle kilkakrotnie wałem opasane i miewają pewien rodzaj cytadelli, podczas gdy pierwsze pojedyńczym tylko murem są okolone i odznaczają się szerokiemi bramami i wygodnym przystępem.

Jednym z najcelniejszych tego rodzaju zabytków jest dochowany po dziś dzień na górze Radlstein w Czechach, niedaleko Cieplic (Töplitz). Wspomniana góra jest to bazaltowa wyniosłość kształtu stożkowatego, 2327 stóp paryzkich wysoka, któréj szczyt widocznie ręką ludzką został wyrównany. Na téj sztucznéj płaszczyznie wznosi się kolisty wał, ze złomów bazaltowych rozmaitéj wielkości zupełnie nie obrabianych tak ułożony, że poprzeczny jego przekrój przedstawia trójkąt równo-ramienny. Cztery, ku czterem stronom świata

---

kalisko-kujawskiej, Jego Ekscelencya ksiądz Popiel, bawił w Warszawie czas jakiś, zwiedzał zakłady dobroczynne, instytucye filantropijne, i że zanim uda się do Kielc, przepędzi czas jakiś na łonie dawno niewidzianej rodziny. Przed wyjazdem swym z Nowogrodu, zacny dygnitarz kościelny odprawiał uroczyste nabożeństwo i udzielał sakramentu Bierzmowania obecnym tam współtowarzyszom i współwyznawcom. Serdeczne wspomnienia pozostawił on za sobą, przyjaznemi pozdrowieniami witanym jest tutaj; bo społeczeństwo nasze pomimo pozornego cynizmu i radykalności swoich aspiracyj i dążności, jest religijnem na dnie, na głębi, jak Italia dantejska, jak protestacyjny krzyk wyrażony w tercecie wielkiego poety, spiewającego napis na bramie wiodącej do jego „piekieł":

Per me si va nella cita dolente,
Per me si va tralla perduta gente,
Per me si va nel eterno dolore.

Od tych florenckich dźwięków w których *si* dzwoni harmonją najmuzykalniejszej mowy — *dove il si surna*—z bitego gościńca sprawozdawczego zbiegamy na uboczną ścieżkę i *cichaczem* zaglądamy do „Teatru Rozmaitości" przedstawiającego tak niesmacznie brudną i lichą ramotę jak „Spa dochron". Czytelnicy „Ogniska" którzy mieli czas zapoznać się z nami, nie posądzą nas pewno o *niemoralny* zamiar gawędzenia z niemi o tej uscenizowanej ohydzie, pełnej sprosnych pospolitości, nieprzysłoniętych nawet wcale delikatną gazą hipokryzyi. Jeśli tytuł jej wbiegł pod pióro nasze, to tylko dla tego, aby przestrzedz uczciwe matki ażeby nie prowadziły na to widowisko córek swoich. Szkoda rzeczywiście że utalentowani artyści musieli grać w tej krotochwili, stojąc niejako pod pręgierzem *reprobacyi* publicznej, która najniewinniej na nich spadała. Co prawda i dyrekcya Teatrów Warszawskich temu nie jest winną, farsa ta bowiem, wyszła na scenę przypadkiem, przez jakieś niedostrzeżenie i *nieprzeczytanie* reżyserskie; za ten jeden błąd jednak wynagrodzenie będzie wspaniałe i sowite, do nowego roku bowiem, spodziewamy się dzięki teatralnym zapowiedziom, całego szeregu samych oryginalnych sztuk, z których niektóre podobno odznaczają się rzeczywistym talentem. I tak pierwszą z kolei będą „Niewinni" trzy-aktowy dramat rodzinny, *dramme bourgeois*, W. S. Okońskiego, o filozoficznej tendencyi, niezgodnej z naszemi zasadami ale noszącej na sobie piętno tak prawdziwego i tak indywidualnego talentu, że pomimo wrogiego uczuć naszych dlań usposobienia, lekko nie myślimy o nim się wyrażać. W naszem przekonaniu, jest to utwór *niezwykły*, który nietylko w naszej dramatycznej literaturze ale i w obcej zrobiłby niemałą sensacyę; jest to dzieło sceniczne, jakiego od lat dziesięciu na europejskich scenach nie bywało. Dla tego właśnie

zwrócone obszerne bramy, prowadzą do wnętrza, którego średnica około 200 kroków wynosi. Dzisiaj mur okalający ma jeszcze 5 stóp wysokości a 25 stóp szerokości u podstawy. Mur nie wznosi się nad samym brzegiem płaszczyzny, co świadczy że nie był budowany w celach obronnych. Zresztą pokojowe jego przeznaczenie stwierdzają szczątki urn, kości i t. p., które za każdem zagłębieniem łopaty wychodzą na wierzch. Nazwa Radlstein nie jest rzeczywistą, ani pierwotną,—poszła ona z przekręcenia słowiańskiéj nazwy Hradczin. Zabytek jednak o którym mowa, sięga epoki dawniejszéj, czasów w których tu nie mieszkali jeszcze Słowianie, i jest dziełem Celtów lub Markomanów. Góra Hradczinu, lubo nie daléj jak o cztery godziny drogi leży od słynnych kąpieli w Cieplicach, rzadko jednak bywa zwiedzaną: raz dla tego, że z powodu spiczastych złomów bazaltowych wstęp na nią jest uciążliwy, a powtóre dla tego, że inny, bliższy Cieplic szczyt gór Milleschawskich, rozleglejszy daje widok.

Odrębny zupełnie charakter przedstawiają zabytki fortyfikacyj z czasów przedhistorycznych, w znacznéj liczbie rozsiane po Anglii, Fr ncyi a zwłaszcza po Niemczech. Wzdłuż Renu, w Westfalii, niższéj i wyższéj Saksonii, Turyngii, Frankonii, aż wgłąb Marchii wschodniéj, zamieszkałéj niegdyś przez Markomanów, Kwadów, Longobardów i Swewów, znajdujemy ślady podobnego rodzaju warowni, rozłożonych prawdopodobnie według pewnego ogólnego planu, a wznoszących się przeważnie na średniéj wysokości wzgórzach, rzekami lub strumieniami oblanych. Jedną z najpokaźniejszych tego rodzaju budowli dźwiga na sobie góra Altkönig pod Kronbergiem, na północ od Frankfurtu nad Menem. Podwójny wał okrążający górę składa się z nieobrobionych i niczem nie spajanych ze sobą głazów. Wielkość kamieni nader jest rozmaitą, zmieniając się od 1 do 15 stóp sześciennych. Wał wyższy a zarazem wewnętrzny opasuje na szczycie góry dosyć regularną linię jajowatą, mającą około 1300 stóp długości. Na szczycie znać ślady jakichś wewnętrznych budowli, zapewnie cytadelli. Wał niższy mniéj regularną linią opasuje stoki góry, przestrzeń bowiem pomiędzy obu wałami, w niektórych miejscach zaledwie 30 kroków szeroka, w innych rozszerza się do 120. Od strony południowéj przytyka do tego zewnętrznego wału rodzaj wysuniętego okopu, który na tysiąc kroków długi, w podkowę wygięty, znikąd nie przedstawia przystępu, ciągnąc się na terrenie mocno spadzistym. Takie wysunięte okopy zdają się nieodłącznemi podobnych twierdz częściami, gdyż napotykamy je przy nich wszędzie.

Twierdze te, nie mają najmniejszego podobieństwa z rzymskiemi zamkami (*castella*) nie można ich też atoli ze względu na stopień zwietrzenia kamieni, odnosić do tak odległéj jaką im niektórzy przypisują epoki. Najprawdopodobniéj cały ten, że tak powiemy, system twierdz, był dziełem szeroko rozsiadłych Swewów, a powstał dopiero za czasów Hadryana, jednocześnie z granicznym murem, którym cesarz ten (117—138 po Ch.) państwo swoje od hord barbarzyńskich odgrodził.

ZDOBYCIE GRENADY.

Opowiadanie historyczne. (*)

(Ciąg dalszy.)

Spokojni i bogaci mieszczanie Grenady, którzy, zajęci będąc przemysłem, sztuką, lub rozkoszami, dobrodziejstwa pokoju wysoko cenili, z przerażeniem i trwogą przyjęli wieść o zwycięztwie emira. Starcy, którzy dawne wojny pamiętali jeszcze, drżeli myśląc o nieszczęściach i nędzach które ten szalony czyn za sobą sprowadzi. Na widok bladych i znękanych więźniów, płaczących kobiet z niemowlętami na rękach, które jak spętaną trzodę pędzili przed sobą dzicy wojownicy po ulicach Grenady, okrzyki oburzenia i litości zewsząd się słyszeć dawały, a piękne Maurytanki z trwogą własne dzieci do łona tuliły, płacząc wraz z chrześciańskiemi matkami. Ogólne to przerażenie zwiększyło się jeszcze, gdy na ulicach Grenady okazała się wyschła lecz pować na postaświętego jednego marabuta któren wyszedłszy ze swego schronienia, przebiegał miasto wołając ponurym głosem: „Synowie Islamu zerwali zaprzysiężone przymierze—biada Grenadzie! Zniszczenie zamieszka w jej pałacach! Wojownicy padną pod mieczem, niewiasty i dziewice jęczeć w więzach będą! Biada! biada! Grenada nosić będzie żałobę Zahary!“

Emir jednakże nie został tem proroctwem wzruszony, bo fanatyzm otaczających go wojowników nie dopuszczał rozmysłu. Uniesieni dumą i żądzą sławy wojennej, widzieli oni w swym wodzu bohatera, który ich do najświetniejszych zwycięztw poprowadzi, a najśmielsi z nich marzyli już o przywróceniu potęgi Maurów w całej Hiszpanii. W tym duchu zostały rozesłane odezwy do współwyznawców w Afryce i Azyi, by ich zachęcić do wspólnej przeciw giaurom wojny. I nie daremnie. Sułtan Bajazet II i śmiertelny wróg jego, sudan Eigptu, zawiesili chwilowo swe waśnie, by wspólnemi siłami iść na pomoc Maurom Andaluzyi; lecz przygotowania te wymagały kilku lat czasu.

Tymczasem Ferdynand Katolicki, z bitnem swem rycerstwem, gotował się także do walki ostatecznej; lecz we wszystkich swych krokach kierując się zawsze rozwagą, nie stawiał od razu wszystkiego na szalę wypadków, unikał stanowczej bitwy, tylko przez lat kilka nieustannemi najazdami na pograniczne punkta, ciągłemi utarczkami i napadami, nużył siły Maurów, którzy i chwili wytchnienia spodziewać się nie mogli; sam zaś oczekiwał na przyjazną chwilę do zadania ostatecznego ciosu potędze Islamu.

Sposobność ta wkrótce się nadarzyła.

---

walczyć przeciw niemu będziemy w imie ukochanych przez nas zasad, szczerze i otwarcie, gorąco.... ale.... przyjaźnie. Drugą sztuką z kolei ukazać się mającą przed światłem kinkietów, ma być podobno pięcioaktowa komedya p. Zygmunta Sarneckiego „Febris Aurea“. Trzecią „Przed Ślubem“ komedya p. Kazimierza Zalewskiego, która nadzwyczajnem powodzeniem cieszy się w tej chwili we Lwowie. Recenzye tamtejszych krytyków brzmią dlań głośnemi pochwałami, a sala teatralna na każdem przedstawieniu przepełnia się liczną publicznością, hucznemi oklaskami świadczącą o swem zadowolnieniu. Dalej ujrzeć mamy „Gonitwy“ p. Edwarda Lubowskiego, i „Mikołaja Kopernika“ Wincentego Rapackiego. Tę całą seryę większych spektaklowych dzieł przeplešć mają drobne jednoaktowe komedyjki utalentowanego pisarza Józefa Blizińskiego, który z niezwykłą prawdą, wiernością i werwą maluje obrazki dramatyczne z życia wiejskiego, wynagradzany ciągłem powodzeniem. Widzimy zatem że repertoar teatrów naszych będzie bogatym i że „włoska opera“ w przyszłym miesiącu rozpoczynająca widowiska swoje ma z czem rachować się, że współzawodniczyć musi z silną konkurencyą. Z tego też powodu przygotowuje ona szereg nowości wcale interesujących, z nieznaną nam „Aidą“ Verdi'ego na czele. Ale o tem potem—teraz korzystając z praw przyrodzonych felietonistycznej gimnastyce, przeskoczmy do innego przedmiotu.

Pomimo dosyć uzasadnionych zarzutów jakie robią dzisiejszej młodzieży, iż zbyt wiele czasu traci na przyjemności i rozrywki, niepodobna nieprzyznać z pewnym rodzajem dumy i radości, że nigdy może od świetnej epoki szkoły krzemienieckiej i wileńskiego uniwersytetu, drogi wiodące do wiedzy i sztuki, niebyły tak licznie przepełniane zmierzającemi do celu, zwłaszcza że nigdy tyle przeszkód co w bieżącej chwili nie zawalało w poprzek, tych nużących swoją krzemienistą twardością gościńców. Nowa, dorastająca generacya, posiada mniej zapału, mniej serdecznego gorąca w piersi, co poprzednie; że jednak żyje, że się rusza, że postępuje, widać to na każdym kroku, zwłaszcza tu w Warszawie. Zda się, że wiara w wiedzę pociąga ją urokiem swoim za sobą... chociaż i tu niebezpieczeństwa najrozmaitsze nasuwają się dla niedoświadczonych. Do nader szkodliwych zaliczyć należy złe towarzystwo. Warszawa jest wielkiem miastem, jednakże pomimo różnic majątku, znaczenia, stanowiska i wieku, wszyscy w niej potrącają się łokciami i zawarcie znajomości dla młodych ludzi jest niezmiernie łatwem. Pewien rodzaj mętów towarzyskich, fałszywie nazwanych *bohemią* artystyczną i literacką, jak wszędzie tak i tu osiada wśród mas.

III.

Lat dwadzieścia przedtem piękna Aïscha ukochana małżonka Mulej-ben Hassana, powiła mu syna pierworodnego, którego nazwano Mohamed-Abdallah; lecz gdy przywołano astrologów, by wedle zwyczaju świetną przyszłość dziecięciu wywróżyli, ci jakby zgrozą przejęci, odwrócili się od kolebki niemowlęcia, i wznosząc ręce do góry, zawołali: „Bodajbyś był się nie narodził, *synu nieszczęścia* (El Zogoybi), któremu przeznaczono jest widzieć tryumf giaurów a upadek Islamu“! Proroctwo to takie wrażenie zrobiło na Muleyu, że znienawidziwszy odtąd Aïschę, zamknął ją w ostrem więzieniu, w jednej z wieżyc Alhambry, a synowi jej na zgładzenie przeznaczonemu, uratowała tylko życie wierna niewolnica, uniósłszy go z sobą w góry Alpuharry. Tam można rodzina Aïschy przyjęła i w ukryciu wychowywała młodego Abdallaha, któremu jednak został na zawsze przydomek, „El-Zogoybi“.

Dzisiaj Abdallah wyrósł na pięknego młodziana, którego rodzina matki i inne nieprzyjazne Muley-ben Hassanowi stronnictwa, postanowiły użyć za narzędzie do przeprowadzenia swych planów. A miał stary emir wielu nieprzyjaciół, zwłaszcza w samej Grenadzie, gdzie lud, nie sławy lecz używania żądny, jego wojowniczemu duchowi przypisywał brak handlu, upadek przemysłu, ruinę wielu majątków i wszystkie klęski które na miasto spadły, z powodu na nowo rozpoczętej wojny.

Stało się więc, że gdy stary emir wracał w r. 1487 wraz z wojskiem swojem, z jednej z tych ustawicznych wypraw przeciwko chrześcianom, w których już nie napadać, ale bronić się tylko musiał, zastał bramy Alhambry zamknięte, a na murach sztandar syna swego zatknięty. Wszczął się na ulicach Grenady morderczy bój, między stronnikami młodego i starego emira, lecz wkrótce ci ostatni, liczbą jeżeli nie walecznością przeciwników pokonani, uchodząc do Malagi, uprowadzili z sobą Muley-ben Hassana, gdzie tenże wkrótce życia dokonał w rozpaczy, nie tyle z utraty władzy, jak z powodu że wstąpienie na tron Abdallaha-el Zogoybi, uważał za spełnienie proroctw o upadku państwa Grenady. Zaledwie też życia dokonał, jakby na stwierdzenie jego przewidywań, król Kastylii obległ Malagę, która jako port wojenny kluczem Andaluzyi zwana była. Po dość długiem oblężeniu, głodem zmuszone miasto poddało się, a mieszkańcy jego, w liczbie piętnastu tysięcy, z mienia ogołoceni, poszli jako niewolnicy uprawiać ziemię chrześciańskim rolnikom Sewilskiej prowincyi.

Tymczasem w Grenadzie młody emir nie używał w spokoju władzy, którą zdobył zdradą własnego ojca. Krewni jego matki i inni pierwotni stronnicy, dopominali się nagród, udziału w rządzie, a nareszcie jeden z wujów jego podniósł chorągiew buntu, a zdobywszy miasta Kadyks, Zarę i Almeryę, niepodległym emirem ogłosić się pragnął. W tej ostateczności, młody i słabego ducha Ahdallah, posłał tajemnie do króla Ferdynanda, obiecując mu, że gdy tenże odbierze te trzy miasta od zbuntowanego „El-Zagi“, to emir Grenady złoży królowi hołd lenniczy i odtąd się za jego wassala uważać będzie.

Ferdynand przyjął łaskawie to oświadczenie i pod koniec r. 1489 już powiewały sztandary chrześciańskie na murach Kadyksu, Zary i Almeryi. Upomniał się teraz Ferdynand u emira o wypełnienie danej mu obietnicy i złożenie mu przysięgi lenniczej; lecz Abdallah, trzymany przez niedowierzających mu poddanych w rodzaju więzienia w Alhambrze, odpowiedział, że choćby pragnął, to nie jest w możności dotrzymania słowa.

Grenada dzieliła się wówczas na trzy stronnictwa. Pierwsze złożone z majętnych i pokoju pragnących mieszkańców, drugie z wojowniczych pokoleń, chciwych bitew z sławy, a nareszcie trzecie z mieszkańców idobytych przez chrześcian miast, którzy wszystko straciwszy, żyli tylko chęcią zemsty i o nią głośno wołali. To też gdy po raz drugi król Ferdynand wysłał swych gońców do Grenady, z grożąc pożogą i zniszczeniem w razie odmowy ucichły pokojowe żądania, głosy ostrożności i bojaźni zagłuszone zostały, a Grenada podniecona gorącą mową Mussy-ben Gasana, jednego z najsławniejsyych swych rycerzy, następującą odpowiedź pisaną krwią niewolnika chrześciańskieego królowi Kastylii przesłała: „Przekładamy śmierć pod gruzami Grenady, nad życie wstydu pod jarzmem giaurów!“

Heroiczna ta odpowiedź, była hasłem do morderczej walki.

IV.

Wkrótce miecz chrześciański zabłysnął w Andaluzyi, pożogą i zniszczeniem zalał bogatą krainę, wsie i miasteczka w perzynę obrócił. Na tę wieść, emir Abdallah na czele swych wojsk wyszedł z za murów Alhambry i kilkoma szczęśliwemi potyczkami słabnącego ducha Maurów pokrzepił, lecz nie na długo. Wojska chrześciańskie wyższe liczebnie, wzmocniły się jeszcze odstępstwem od emira mieszkańców okolicznych wiosek, którzy chcąc sobie zapewnić bezpieczne używanie płodów swéj ziemi, czego pod niespokojnem berłem maurytańskich władzców nigdy dostąpić nie mogli, poddali się chrześcianom. Abdallah powrócił smutny i zgnębiony.

Hiszpanie obóz swój w *la Vega* założyli. Proporzec królewski powiewał w *Hijos de Huescar*, wiosce o półtoréj mili tylko od Grenady odległéj. Namioty wodzów i rycerzy, świetnemi barwami błyszczące, z herbownemi sztandarami u szczytów, szeroko się na wzgórzach rozsiadły; lecz gdy przypadkowy pożar zniszczył w kilku godzinach cały ten bogaty i strojny obóz, król Ferdynand, chcąc okazać nieprzyjacielowi, że ta klęska bynajmniéj go od przedsięwzięcia nie odstrasza, na temże samem miejscu rozkazał kopać fundamenta nowego miasta, które miało spalony obóz zastąpić. Dziewięć maurytańskich miast świeżo zdobytych, złożyć się musiało na koszta tego

---

W Paryżu, znika ona i rozpływa się wśród olbrzymiej ludności, tu wyskakiwać musi częstokroć na pierwszy plan, przynajmniej w *życiu ulicznem*, pewną barwnością swoją nęcąc oczy nieumiejące rożróżnić kolorów. Propagujący dziś *cyganeryę* trawestują jej *chwilowy*, dawny charakter. Kiedyś, przed laty, wywołał ją egzaltacyjny ferwor, a pomimo to miała swoje ujemne strony, pogrzebała bowiem pod szynkownianą beczką alkoholu pomięszanego z rozpaczą i smutkiem, liczne poetyczne zdolności albo obcięła i skróciła orle loty wielu talentów. Dziś bohemia, licho i niezgrabnie, *przemysłowie* i realnie, parodyjując piękne „*Scènes de la vie de Bohème*“ Henryku Murger'a, garnie w swoje szeregi same próżniacze mierności. Życie podług jej zasad pojęte, jest zabawnem „życiem na żart“ do niczego nieprowadzącem, chociaż obrachowywanem na kapitał za nędzny zarobek. Tłumaczy ją do pewnego stopnia *szychowa* nędza obudzająca litość; nic jednak nie usprawiedliwia. Dary umysłowe gasną w jej atmosferze, jak dogorywający kaganek postawiony w miejscu pozbawionem powietrza. Najszlachetniejsza natura w niem staje się złą i przewrotną, a serce pomimo dobrotliwych porywów, kamienieje unurzane w rozpuście i osłabione ciężką walką o byt codzienny,—walką jaką prowadzi ucywilizowany lazzarone ze społecznością nieumiejącą się bronić od napaści niczem więcej, jak tylko kodeksem karnym. Kto nie ma siły wydostać się z tego zaczarowanego kręgu lekkomyślnego zepsucia—staczać się będzie powoli po pochyłości, u podnóża której zalega czarna przepaść grzebiąca honor i godność ludzką. Młodzież zaś, jakolwiek pozytywną jest dzisiaj, jakolwiek rozsądną i zimno-obrachowaną, nie przestaje być przeto młodzieżą. Jaskrawość ją zachwyca, jaskrawość ciągnie ku sobie. Szczęściem iż niebrak takich w jej gronie, co przykładem zmuszają niejako aby garnęła się do wspólnych zajęć naukowych. O tarczę pracy rozbiją się pociski fałszywych teoryj wylęgłych w wyobraźni próżniaków, a dorastające pokolenie otrząśnie się niezawodnie z apatycznej drzemki, na którą słyszymy ciągłe narzekania, nawet w ustach tejże samej młodzieży.

Małomiasteczkowa młodzież naszego kraju znalazła doskonały środek połączenia dobrego uczynku z rozrywką. Mówimy tu o *teatrach amatorskich* na korzyść nieszczęśliwych pogorzelców, które w prowincyonalnych grodach są teraz na porządku dziennym. Jak najgorętszem słowem zachęty pragnęlibyśmy popierać ten zapał artystyczny, najprzód dla tego, że cierpiący współbracia zyskują na nim nie mało, a powtóre z powodu, że towarzyskie skutki tej zabawy są nieocenione. Nie potrzebujemy zdaje się rozwodzić się nad przedmiotem

olbrzymiego przedsięwzięcia i w pięć miesięcy stanęło miasto, obronne wieżycami i bastyonami na wysokich wzniesionemi murach. Nazwano je *Santa Fé* i istnieje ono do dziś dnia, jako pamiątka żelaznej woli owych średniowiecznych ludzi.

(D. c. n.)

Pietnaście dni na wybrzeżach Gangesu.

(Wyjątki z dziennika podróży A. M.)

Bodaj to podróżować w innej stronie świata! Nasza stara Europa strasznie nudna od czasu gdy koleje żelazne zrównały góry i doliny, przepaściste wąwozy i skalne urwiska, przebiegając wszędzie równie szybko i bezpiecznie; od czasu gdy ład i porządek społeczny przeobraził niedostępne rozdroża i nieprzebyte lasy pełne zbójców i dzikiego zwierza, w spokojne i pewne gościńce. Gdzież tu szukać przejmujących wrażeń? Gdzie przygód dziwnych a strasznych, pozostawiających niczem niezatarte wspomnienia? Niema rady, kto je mieć pragnie, musi uciekać zdala od ucywilizowanego społeczeństwa w świat inny, więcej zbliżony do epoki pierwotnego życia ludzkości. Rozmyślałem nad tem znużony długą przechadzką po ulicach Londynu i postanowiłem w końcu nie jechać już do Danii gdzie się udać miałem, lecz raz już wreszcie zakosztować rozkoszy podróży w inne strony świata o której marzyłem oddawna. Szło mi jeszcze o to gdzieby się udać najpierwéj, gdy uchylono drzwi ostrożnie i wszedł pan Damazy, jeden z rodaków zamieszkałych w Anglii, z którym łączyły mię stosunki przyjaźni i pokrewieństwa.

— Wiesz z czem do ciebie przychodzę Antosiu? rzekł na wstępie; oto uwiadomić cię że za dni kilka jadę do Indyj. Z dawna już powołują mię tam interessa sukcessyjne po zmarłym stryju żony, lecz teraz trafia się doskonała okazya przeprawy. Wiesz jak kocham i szanuję Mac-Clintona? Otóż on sam wyrusza do Kalkuty. Statek jego nowiuteńki, miejsca w nim dla pasażerów dogodne, a wreszcie powraca wkrótce.

Rzuciłem się na szyję pana Damazego.

— Jadę z tobą! wołałem ściskając go, jadę! Marzyłem właśnie o podobnej wycieczce, nastręcza się więc w samą porę!

— Czy tak? rzekł pan Damazy, widocznie zadowolniony że mieć będzie ze mnie towarzysza podróży. No to idźmy nie zwlekając do kapitana, żeby miejsca nie zabrakło.

Porwałem za kapelusz i niezadługo byliśmy po nad brzegiem Tamizy a w kilka dni potem płynąłem do Indyj.

Nie zdołam nigdy wypowiedzieć wrażenia jakiego doznałem wysiadając na ląd w azyatyckiem mieście, oblanem łuną zachodzącego słońca mieniącą się w kolory tęczy na szczytach i tarasach domów, wśród których snuły się roje ludności w różnobarwne przyodzianej szaty. W jednéj chwili zapomniałem trudów dalekiéj podróży. Pan Damazy, który już po raz drugi zwiedzał Indye i zamieszkiwał nawet czas jakiś w Kalkucie, pociągnął mię zaraz na bulwar wzdłuż wybrzeża Gangesu, gdzie się gromadzą co wieczór mieszkańcy, Napotkać tam można narodowości ze wszystkich niemal stron świata, zacząwszy od afrykańskiego murzyna z wybrzeży Zanzibaru aż do mieszkańca wysp Malajskich. Turcy, Chińczycy i Tatarzy przesuwają się obok krajowców i Europejczyków, przybrani w swe narodowe stroje. Opisywano już nieraz stolicę potęgi angielskiéj w Indyach, jeżeli zaś opisy te były niedokładne, ja z pewnością dopełnić ich nie potrafię. Zanadto byłem zajęty otaczającemi mię przedmiotami i zbyt krótko wreszcie przebywałem w Kalkucie, aby przedstawić dokładny jéj obraz. Powiem więc tylko że miasto to ma przeszło milion ludności, i zwykle pięć do sześciu tysięcy okrętów na kotwicach w porcie. Łatwo ztąd odgadnąć ogrom handlowego ruchu i nagromadzenie rozmaitych narodowości. Napatrzywszy się im do woli, poszliśmy wraz z panem Damazym do przyjaciela jego pana Jacolliot, wyższego urzędnika z Chandernagor, przebywającego tu czasowo, który nas napotkał i do siebie zaprosił. Oboje z żoną, bardzo miłą i rozumną kobietą, zatrzymali nas u siebie w gościnie nie tylko na noc, lecz na cały czas pobytu naszego w Kalkucie, uradowani że rozmawiać będą o Europie, do któréj tęsknią bardzo, od lat kilku ją opuściwszy. Z pana Damazego nie wielką mieli pociechę, bo nieraz jak wyszedł za interesami, to nie wracał aż wieczorem, lecz ja za to ciągle byłem na ich usługi, odbywając wraz z niemi wycieczki po mieście. Wkrótce też dzięki ich znajomości nastręczyła mi się doskonała okazya podróży w głąb kraju który mię coraz więcej zaciekawiał. Bogaty angielski kupiec pan Stewens zaproponował państwu Jacolliot, aby razem z nim odwiedzili wspólnego przyjaciela majora D., właściciela niezmiernie bogatéj posiadłości o mil kilkanaście od Kalkuty odległéj. Podróż odbyć miano Gangesem a następnie morzem na własnym statku pana S. zwiedzając ciekawsze miejsca na wybrzeżach. Państwo J. nie dali się długo namawiać, położyli wszakże warunek abym im towarzyszył. Łatwo sobie wyobrazić jak mi się uśmiechała myśl podobnéj wycieczki. W dniu wyjazdu wyprzedziłem wszystkich i najwcześniéj stawiłem się w przystani. Statek pana S. był zbudowany wygodnie i ślicznie, przez sam środek ciągnął się wspaniały salon, po bokach zaś były oddzielne pokoje dla podróżnych. PP. Stewens okazali mi wiele uprzejmości, mówiąc, że radzi są niezmiernie gościowi przybyłemu świeżo z Europy, z którą również wiążą ich dawnych lat wspomnienia. Cały ekwipaż statku składali ich ludzie i ludzie p. Jacolliot, oba domy złączyły się w jeden, a ja wśród nich jakoś obcy się nie czułem. Wyruszyliśmy w drogę bardzo rano; całe miasto pogrążone jeszcze w uśpieniu przesunęło się przed memi oczyma jak w panoramie, i wkrótce widać już było tylko brzeg rzeki gęstą trzciną zarosły, na którym szakale i sępy bój zacięty

---

o którym tyle razy mówiono i pisano. Na lenistwo, apatyę, ospałość, złe wychowanie, teatr amatorski jest przyjemnem i skutecznem lekarstwem; budzi on myśli, podnosi umysł i rozszerza zamiłowanie do literatury. W innych krajach dziecinne teatrzyki amatorskie wchodzą niejako obowiązkowo w zakres wychowania i są jego dzielnym czynnikiem. Młody człowiek wyrwany z kawiarni, wprowadzony w koło towarzyskie, w pośród kobiet, które stoją u nas na wyższym od mężczyzn stopniu cywilizacyjnym, zmuszonym się czuje do obowiązku przyzwoitego zachowania się, do uszanowania dla płci słabej i oddawania jej należnej czci, o czem nie myślą nieraz nasi uliczni kawalerowie. Czytelnicy i czytelniczki „Ogniska" niezawodnie znają kwestyę „Donżuanizmu" podniesioną zręcznie przez „Kuryera warszawskiego"; samo jej istnienie świadczyło o złem wychowaniu i brutalności naszej młodzieży nawet tu w centrum oświaty, w Warszawie. Młodzież źle wychowana, zapominająca że ma matki i siostry i że z czasem zapragnie mieć żony, poczęła z barbarzyńską i cyniczną śmiałością napastować kobiety na ulicach. Dziennikarstwo surowemi wzmiankami skarciło nikczemność tego postępowania. Mężowie, bracia i ojcowie we wrodzonej solidarności czerpiąc potrzebę energii, chwytali *Lowelasów* i oddawali w ręce policyi. Słowem w bardzo dobrej i ważnej sprawie narobiono hałasu, który obił się o uszy pewnej naszej znajomej, osoby pięknej i młodej... przed pietnastu laty,—a dziś niechcącej zapomnieć że nią była kiedyś, chociaż *zadomowionej* na wsi i spełniającej obowiązki małżonki, matki i pani z wielką godnością. Otóż idąc wczoraj po Krakowskiem-Przedmieściu, koło Saskiego placu, spotkałem ją niespodzianie.

— Jakto? pani przybyła do Warszawy?

— Na kilka dni tylko. Mąż mój trochę cierpiący,—niebyło komu odwieść Karolka na pensyą, musiałam zatem przyjechać. A kiedy tu już jestem, przebiegam miasto wzdłuż i wszerz żeby je sobie przypomnieć.

— I jakże się pani wydaje—czy bardzo zmienione?

— Warszawa jednakie robi na mnie wrażenie jak dawniej. Nowy-Świat równie ożywiony jak niegdyś, chociaż trochę sklepów przybyło i—ruch powozów olbrzymi.... Ah! o jednym postępie zapomniałam, który z przyjemnością zauważyłam i cieszę się z niego niewymownie. Kobieta może spokojnie chodzić sama ulicą, młodzi ludzie nie ścigają jej ani nie napastują jak to było dawniej.

— Uśmiechnąłem się nie z naiwnej próżności kobiecej..... broń Boże... uśmiechnąłem się myśląc, że rozmowa ta posłuży mi za koniec dzisiejszego felietonu.

X—i.

toczyły o jakąś zdobycz. Gdy podpłynęliśmy bliżéj, poznałem że wydzierają sobie trupa, którego wyrzuciła woda i odwróciłem ze wstrętem wzrok w inną stronę.

— Ganges, *święta rzeka*, jest cmentarzem indyjskim, ozwała się wtedy p. J. która stała obok mnie na pokładzie; widowiska podobne są bardzo częste na jéj wybrzeżach, gdzie dzikie zwierzęta przyciągają wabione nadzieją pewnéj zdobyczy. Byłam raz sama świadkiem jak porwać chciały żyjącego jeszcze człowieka, który wszakże będąc bliskim zgonu, bronić się już nie miał siły.

— To okropne! byłbym niesłychanie wdzięczny, gdybyś mi pani raczyła opowiedzieć ten wypadek, rzekłem zaciekawiony.

— Jak najchętniéj, lecz siądźmy na téj ławeczce pod markizą, bo tu już słońce dopieka.

Schroniliśmy się pod namiot płócienny i pani J. mówić zaczęła:

— Niedaleko Chandernagoru, gdzie mój mąż dostał obecnie posadę, rzekła, jest miejsce zwane *gathem* czyli cmentarzyskiem gdzie krajowcy znoszą konających aby oddali ducha w obec świętéj rzeki, co ma dopomódz im do zbawienia. Następnie zapalają tam stos, na którym palą zwłoki nieboszczyka. Palenie nie trwa długo, zaledwie bowiem ogień obejmie ciało, zagaszają go, a umarłego rzucają w rzekę; idzie tu bowiem o oczyszczenie z grzechów przez ogień a następnie przez wody Gangesu. Gath, o którym mówię, był to wysoki budynek, którego dach zupełnie płaski wspierały jedynie cztery kolumny. Schody zajmujące całą jego szerokość dochodziły do saméj rzeki. Na tych schodach rodzina i kapłani składają umierających, których tu przywożą, sami zaś oczekują nieco opodal chwili ich śmierci. Jeżeli konanie się przedłuża, *pourohita*, to jest kapłan, ma obowiązek przyśpieszyć ostateczny obrzęd. Polega on na zatkaniu nosa, uszu i ust chorego błotem z rzeki, aby przez te otwory nie dostały się wewnątrz niego złe duchy. Operacya ta zwykle dobija umierającego. Bywają wszakże wypadki, że ten zimny okład otrzeźwia go i podnieca jego siły żywotne. Wtedy, zaczyna się pomiędzy nieszczęśliwą ofiarą a jéj katem straszna walka. Jeżeli pourohita sam rady dać nie może, wzywa na pomoc rodzinę, która przybiega dopomódz mu w jego okrutnem zadaniu. Człowiek bowiem złożony na schodach Gathu bądź co bądź musi umierać, a gdyby mógł wyrwać się i uciec, pozostaje na zawsze cywilnie umarłym. Nie wolno mu do domu powracać, żona jego uważana jest jak wdowa a dzieci lub krewni majątek dziedziczą. Znaliśmy bogatego kupca z Kalkuty, który obudziwszy się z letargu na stosie, zdołał umknąć z rąk kapłanów. Spędził on resztę życia na żebraninie i uważany był gorzéj niż paria, podczas gdy rodzina jego używała dostatków które nagromadził swą pracą. Ale muszę powrócić do Gathu w Chandernagorze od którego odbiegłam. Mąż mój wraz z przyjaciołmi pragnął zapolować na szakale które się tam gromadzą, umyślił zatem przepądzić noc w pobliżu. Towarzyszyłam mu chcąc widzieć ceremonie pogrzebowe o których tyle słyszałam. Przybywszy na miejsce późno w wieczór, zastaliśmy kilka stosów zapalonych wzdłuż wybrzeża rzeki, i kilkunastu konających Indyan na schodach. Umieściliśmy się na pobliskim murze tworzącym rodzaj tarasu, zkąd wszystko widzieć można było. Mieliśmy wprost przed sobą płonące stosy, których płomienie przyświecały *rzemieślnikom umarłych* czyli *panderonom*, budującym je w dalszym ciągu linii wytkniętéj nad rzeką, dla nowych umarłych. Gdy wiatr dym rozpędzał, widać było niedopalone jeszcze trupy. W bagnistych zaroślach które nas otaczały dokoła, wyły tysiące szakalów i innych dzikich zwierząt zwabionych tu nadzieją zdobyczy. Na murawie w pobliżu Gathu siedzieli kapłani i rodziny oczekujące chwili skonu umierających na schodach. Był to widok ponury i straszny. Wycia szakalów stały się w końcu tak ogłuszające, że towarzysze moi prosili mię, abym im pozwoliła oddalić się trochę i strzelać do nich. Postanowiłam sobie że nie będę dla nich zawadą w téj wycieczce, nie sprzeciwiałam się więc temu, lubo umierałam ze strachu. Pozostawał zresztą przy mnie na straży wierny nasz służący Tihi Nago i ogromny wyżeł Fedor, którego trzymałam na smyczy, aby go wypuścić w razie potrzeby obrony, a dwóch uzbrojonych ludzi pilnowało wejścia na taras; gdyby hyena dostać się tam chciała, mieli do niéj dać ognia. Wkrótce rozległy się odgłosy wystrzałów w bagnie i szakale umilkły. Myśliwi tropili ich jeszcze dokoła; nie oddalali się zbytecznie, gdyż od czasu do czasu słyszałam umówiony okrzyk mego męża, na który odpowiadałam w podobny sposób, zapewniając go, że mi się nic złego nie stało. Strzały i wycia ucichły wreszcie, musiano wytępić ogromną liczbę dzikich zwierząt, bo więcéj pewno niż godzina zeszła na polowaniu. Palące się stosy pogasły, a nowo ułożone wybuchły jasnym płomieniem. Tihi Nago, który z mego polecenia poszedł zajrzeć do Gathu, powrócił mówiąc, że pozostało tam już tylko dwóch umierających. Wśród ciszy która zapanowała na chwilę, zaczęłam rozmyślać o niezbadanych wyrokach Opatrzności względem tych ludów wschodnich, które niegdyś cywilizowane, dziś pogrążają się w coraz głębszą otchłań ciemnoty, gdy dwa strzały dane jednocześnie, uwiadomiły mię według umowy o powrocie myśliwców. Umyśliłam pójść na przeciw nich, wiedziona wszakże mimowolną ciekawością, rzuciłam wpierw okiem na stopnie Gathu, chcąc się przekonać czy znajdują się tam jeszcze ofiary. Dostrzegłam już tylko jedno ciało; słaby jęk który mię doleciał, o mało mię o śmierć nie przyprawił. Pochyliłam się naprzód i zdało mi się nagle, że coś czarnego sunie zwolna w górę na schody. Noc wszakże była tak ciemna, że nie mogłam rozróżnić co by to było. Wytężyłam wzrok lecz nic już nie widziałam. Miałam już odejść, gdy zauważyłam znowu, że umierający, którego białe prześcieradło odbijało od szarych głazów, zwolna zsuwa się ku rzece. Krzyknęłam przeraźliwie a Tihi Nago stanąwszy przy mnie dostrzegł w tejże chwili co zaszło... Wystrzelił... usłyszeliśmy wycie zranionéj hyeny, a ciało umierającego pozostało nieruchome na ostatnich gradusach, gdzie ściągnęło je obrzydłe zwierzę które miało je pożréć. Pourohita i rodzina usnąwszy w przyległych krzakach, zbudzeni wystrzałem przybiegli na miejsce, a przekonawszy się o tem co zaszło, padli przed nami na twarz z wdzięcznością. Nie chodziło im wcale o cierpienia umierającego pożeranego przez hyenę, lecz o zbawienie jego duszy, która w takim wypadku przechodzić by musiała przez bardzo bolesne próby w przyszłem życiu. Strzał Tihi Nagi przyspieszył powrót mego męża i jego towarzyszy, było to już około trzeciéj nad ranem, opuściliśmy więc coprędzéj nasz posterunek. Rok przeszło upłynął już od owego czasu i nieraz spotkałam trupy na wodach Gangesu, nie zatarły one wszakże strasznego wrażenia owego nieszczęśliwego umierającego z Gathu. *(D. c. n.)*

ROZMAITOŚCI.

— I rodzina, któréj potrzebom staramy się usilnie uczynić zadość, zostaje pod opieką prawa i przez nie jest regulowana. Ztąd i dla rodziny niezbędna jest znajomość ustawodawstwa krajowego. Oczekiwana u nas od 13 Lipca r. p. reforma sądowa, oddziaływając na najistotniejsze stosunki społeczne, nie będzie bez wpływu i na rodzinę. Dla tego też zapoznanie się wcześnie z zasadami téj reformy i jéj ogólną charakterystyką jest niezbędne. Szperanie po zbiorach postanowień, zestawianie porozrzucanych przepisów obowiązywać mających, i wytworzenie sobie dopiero z tego materyału ogólnego pojęcia o spodziewanéj reformie, nie mało przedstawia trudności i nie dla każdego jest dostępne. To też przystępne wykłady o reformie sądowéj, wskazujące jéj zasady, treść i główną charakterystykę, są nader pożądane i użyteczne. Z tych powodów zwracamy szczególną uwagę naszych czytelników na szereg artykułów o tym przedmiocie, który rozpoczyna obecnie drukować *Gazeta Sądowa Warszawska*. Zaszczytnie znani i zasłużeni w naszej literaturze prawnicy podjęli tę pracę zaznajomienia najobszerniejszego koła czytelników z reformą sądową, i dla tego też mniemamy, że te artykuły w zupełności odpowiedzą swemu przeznaczeniu, że przeto każdy myślący obywatel kraju powinien się z niemi dokładnie zapoznać.

Druk J. Noskowskiego, Mazowiecka Nr. 11. Дозволено Цензурою, Варшава 4 (16) Октября 1875 г. Wydawca i Redaktor, **Bronisław Przyrembel.**

PRZYSIĘGA DEBENHAMA

POWIEŚĆ,

przez

Amelią B. Edwards,

z angielskiego tłómaczona.

Tom drugi.

(Dalszy ciąg.—Patrz dodatek do Nr. 54).

— Czy doprawdy masz ten zamiar? powiedział Arczy przestraszony.

— Z największą pewnością.

— Gdzież będziesz jeździł po bawełnę?

— Do Wilmingtron. Trzeba tylko przenieść się z Nassau na wyspy Bermudy, jako miejsca wyjazdu, a podług tego co słyszałem, łatwiej teraz się dostać do Wilmington jak do Charleston. Ale już szósta bije, a o siódmej musimy być na okręcie.

O godzinie oznaczonej stawili się na pokładzie i zastali kilku przyjaciół z Charleston czekających żeby się z nimi pożegnać. Pomiędzy niemi byli: pułkownik Ashby. p. Prideaux i Senator Shirley; ten ostatni uzbrojony dwoma pudełkami cygar, jedno dla De Benhama, drugie dla Arczybalda.

— Jeżeli wolno palić w raju, powiedział, takie cygara możecie się spodziewać tam zastać; panie De Benham pozwoliłem sobie zaprzątnąć twoją kajutę paczką tego wina Madery, które ci tak smakowało u mnie na obiedzie. Nie dziękuj mi pan; gdyby było miejsce, sto razy więcej bym ci ofiarował. Szczęśliwej podróży!

Serdecznie się ze wszystkiemi po kolei pożegnali, i goście odjechali w swoich łódkach a o wpół do ósmej *Ptak Burzy* puścił się w drogę.

Przypływ morza bardzo był mały tego wieczora, i kierowanie się z przyczyny zmiany w piaszczystym korycie rzeki było trudniejsze niż zwykle. Musieli się ciągle trzymać brzegu i zapuszczać ołowiankę.

— To najpaskudniejsza rzeka na świecie ze swemi piaskami, powiedział rozgniewany p. Zacharjasz Polter. Zapuścić jeszcze ołowiankę.

Po chwili majtek zawołał:—Dwanaście stóp i pół!

— Dwanaście i pół! patrzcie no! Godzinę później, nie bylibyśmy wcale mogli wypłynąć.

— Dwanaście stóp! zawołał majtek.

— Trzeba ciągle lawirować! sześć jest odnóg, a w żadnej przy małym przypływie nie można nawet rachować na jedenaście stóp. Zapuścić ołowiankę.

Sternik dalej mruczał i przeklinał, majtek zapuszczał sondę, noc zapadała i *Ptak Burzy* wolno i z trudnością przebywszy wszystkie zakręty odnogi dostał się do bateryi bronionych workami piasku i przygotował się na ostatnie wysilenie.

Noc była już zupełna, pochmurna, trochę chłodna i wilgotna, słaby wiatr północno wschodni powiewał, i wysokie bałwany piętrzyły się na wale. De Benham spoglądał niespokojnie naprzód i wydało mu się, że okręty blokujące tworzyły jeden nieprzerwany łańcuch.

— Więcej tam stoi statków niż kiedyśmy tu przybyli temu dwa tygodnie, powiedział do kapitana.

— Bez wątpienia.

— A trzy razy więcej jak kiedyśmy pierwszy raz tu przyjechali.

Kapitan kiwnął głową.

— Nie powinnibyśmy mieć tych wszystkich pak na pokładzie, powiedział, okręt jest jakby górą bawełny, pewno nas zobaczą.

— Tak Pan myślisz? Czy nie lepiejby było powrócić dopóki *jeszcze* nie za późno?

— Jest *już* za późno, powiedział kapitan, jesteśmy na wale.

Gdy te słowa wymawiał, *Ptak Burzy* zanurzył się w spienione bałwany, uderzył o wał, cofnął się, zdawał się przez chwilę stać nieruchomy, znów się puścił, zaorywając się dnem w trwałą budowę, i cały trzeszcząc wpłynął na głębinę.

— Dziesięć minut później, nie bylibyśmy mogli tego zrobić za wszystkie dollary na świecie! zawołał sternik. A teraz trzeba żeby ci chłopcy na dole pokazali co ich maszyny warte.

I zawierzając swej szybkości i szczęściu swemu, dzielny okręt skierował się ku szerokiemu morzu.

Ale w tej samej chwili, jakby z pod statku, wyleciała strzała ognista i wśród ciemności czerwona gwiazda zabłyszczała nad ich głowami; wtedy dopiero spostrzegli że mało nie uderzyli o łódkę stojącą tuż za wałem. Jakby przeciwnik odpowiadający jednocześnie na strzał w pojedynku, niebieskie światło zajaśniało razem na trzech okrętach wzdłuż linii blokującej. Łódka pozostawiona już dużo w tył wypuściła wtedy zieloną racę i *Ptak Burzy* ujrzał jak pięć lub sześć okrętów zmierzało ku niemu.

— Zatrzymać! zawołał sternik.

I okręt postępujący z największą szybkością zatrzymał się nagle, jak posłuszny wyżeł.

— Odwrócić jedną maszynę!

Usłyszano trzeszczenie, statek zadrgał boleśnie, zakręcił się jak fryga, znów ku wałowi zmierzył; i prawdziwie go przeskoczył, uniesiony siłą pary. W mniej jak cztery minuty po wypłynięciu na morze, znów się znajdował bezpieczny po za bateryami.

Pan Zacharyasz Polter w gwałtowny wpadł gniew.

— To wszystko wina tych szatańskich sygnałów, wołał, przebiegając w złości po pokładzie i przeplatając swe słowa najwyszukańszemi przekleństwami amerykańskiemi. Ułożyli je jakby prawdziwy język i mogą niemi rozmawiać, a my teraz będziemy musieli tu czekać trzy lub cztery godziny, dopóki wody nie przybędzie i nie zapomną trochę o nas te przeklęte szelmy.

— Ale dla czegóż nie puściłeś się naprzód sterniku! spytał De Benham, także rozgniewany.

— Puścić się naprzód, mając ich przed sobą? zawołał p. Polter z niewypowiedzianą pogardą. Może na przyszły raz pan do nich poszlesz, żeby im dać znać o naszem przybyciu? Nie panie, gdybyśmy tylko byli z tamtej strony blokady, pokazałbym im jak umiemy uciekać; w oczach by im się tylko zaświeciło, ale nie mam żadnej ochoty do samobójstwa. Kapitanie, prosiłbym o szklankę zimnego grogu, tylko tęgiego, moje nerwy są okropnie rozdrażnione.

Następne godziny minęły wolno i ciężko. *Ptak Burzy* przysunął się do bateryi, o ile na to pozwalała płytkość wody i tam czekał. Kapitan i załoga, nadzorca ładunku i sternik wszyscy zarówno byli zawiedzeni i pomartwieni. Było to pierwsze ich niepowodzenie, pierwsze jakby dotknięcie nieszczęścia, i nie mogli się pocieszyć; żeby poprawić humory, kapitan kazał rozdać podwójną porcyą wódki.

Nareszcie, pomiędzy pierwszą i drugą z rana, p. Zacharyasz Polter wydał rozkaz wyjazdu, podpalono pod maszyny i przygotowano się do drugiej próby.

Morze zaczęło już przypływać z silnym prądem skierowanym w górę rzeki, i statek musiał walczyć przeciw temu prądowi. Okoliczność ta była nieprzyjazną, ale z drugiej strony lekka mgła powstała nad ranem, i było już czternaście stóp wody nad wałem, co znów ułatwiało przeprawę.

Wszystko tym razem im sprzyjało. Po cichu przepłynęli przez wał, nie ujrzeli żadnej łodzi i żadna ich nie ujrzała; mgła, chociaż bardzo lekka i przezroczysta ukrywała ich przed wzrokiem nieprzyjaciela, tak jak i jego czyniła niewidzialnym, bo dopiero kiedy przemykali się przez linię blokady ujrzeli na prawo i na lewo niepewne kształty dwóch wielkich okrętów wojennych. Szaro zielonkowaty cień ich własnego statku, i upiętrzone paki bawełny tak się zlewały z kolorem fali i ze mgłą, że zupełnie uszli uwagi i niepostrzeżeni wypłynęli na szerokie morze.

— Nie odwiedzimy darmo Nowego Yorku, powiedział Arczy śmiejąc się zwycięzko.

— Nie jestem jeszcze zupełnie pewny, odrzekł De Benham, straciliśmy trzy godziny nocy, a o piątej będzie dzień.

— O piątej, w samej rzeczy, był dzień, słońce świeciło, mgła się rozchodziła, lekki wietrzyk muskał powierzchnię morza; o szóstej wiatr silniejszy powstał i rozpędził ostatek mgły. Wtedy, trzy głosy naraz, to jest De Benham, Pierwszy pomocnik kapitana i majtek na straży, zawołali nagle—statek ho!

O pół mili zaledwie, na lewo, wielki statek parowy o kołach właśnie się ukazał.

Sternik pobiegł do swej trąby, kapitan do maszyny i dzielny okręt pod większym naciskiem pary przyśpieszył biegu jak koń wyścigowy uderzony ostrogą. W tej samej chwili obcy statek wywiesił flagę amerykańską, wykręcił się do ścigania, i pierwsze pociski rzucił na *Ptaka Burzy.*

— Wrzucić do wody te paki! zawołał sternik.

I wszyscy znajdujący się na pokładzie rzucili się na paki bawełny, na kosztowne paki, warte każda pięćdziesiąt, może sześćdziesiąt funtów szterlingów, i co kto miał siły, podnosił je i wrzucał do wody; wpadały i zanurzały się jak ołów, podnosiły się i pływały jak pióra i za chwilę daleko pozostawały w tyle.

Tymczasem strzelanie nie ustawało i nieprzyjaciel zanadto dobrze celował, ażeby ta kanonada mogła się stać przyjemną.

Nagle, gdy odległość dzieląca obydwa okręty zaczynała się stawać coraz większą, na *Ptaku Burzy* dało się uczuć lekkie wstrząśnienie, jak gdyby dreszcz przeszedł cały statek, i nim mogli jeden drugiego zapytać: co się zdarzyło, pęd okrętu zwolniał, *Ptak Burzy* wykręcił się powoli i bokiem się odwrócił do ścigającego go nieprzyjaciela.

Sternik pobiegł do rudla, kapitan wyszedł zadyszany z komórki gdzie były maszyny; pot strumieniem lał mu się po twarzy.

— Na miłość boską, co się dzieje, zawołał De Benham, widząc że obydwa nachylali się nad bokami okrętu.

— Ślicznie się dzieje, odpowiedział pan Zacharyasz Polter, wymawiając każde słowo powoli i z naciskiem, i zamykając swoją perspektywę. Jedna z tych przeklętych pak bawełny zaplątała się w prawą szrubę. Już po nas teraz!

W samej rzeczy, popchnięta siłą bałwanów pod okręt, jedna z wyrzuconych pak bawełny została porwaną przez wirujące ostra szruby, w jednej chwili była rozdartą, płótno i sznur, bawełna okręciły się na około słupa, w jednej chwili śruba była bez ratunku zaplątana,

szybkość okrętu zmniejszyła się o połowę, i wszelkie wysilenia były daremne.

De Benham spojrzał błagająco na kapitana, ten tylko potrząsł głową i założył ręce, nieprzyjacielski okręt znów dwa razy wystrzelił, i jeden z pocisków padł o kilkanaście łokci od *Ptaka Burzy*.

— Nie ma co robić, kapitanie, powiedział sternik, lepiej dobrowolnie się poddać.

De Benham to usłyszał, odwrócił się i udał się na drugą stronę.

Arczy poszedł za nim.

— Mój kochany Temple, rzekł ze łzami w poczciwych oczach, jak mi też żal.

Przez chwilę De Benham nie patrzał na niego, przygryzając wąsy, słuchając ze zmarszczonem czołem przeraźliwego gwizdania wypuszczonej pary.

— Spodziewałem się tego, powiedział nareszcie. Czułem, opuszczając Charleston że nieszczęście na nas spadnie tym razem. Ale cóż robić? niczyjej winy tu niema.

— Jest to okropna przykrość powiedział Arczy.

— Jest to kolej losu, odrzekł De Benham z goryczą, *Ptak Burzy* nie posuwał się już, podnosił i spuszczał tylko na falach, i można było dosłyszeć odgłos kół zbliżającego się amerykańskiego statku.

— Mogłoby być gorzej, ciągnął dalej De Benham, jakby mówiąc do siebie, a nie do Arczy, mogłoby się to było zdarzyć za pierwszą wyprawą, jednak byłbym chciał jeszcze raz szczęśliwie się wydostać.

I powtarzając jeszcze po cichu, że to koleje losu, poszedł do swojej kajuty i drzwi zamknął, nie chciał być obecnym przy poddawaniu się.

ROZDZIAŁ VII.

W niewoli.

Kiedy De Benham wyszedł ze swojej kajuty, zastał już kapitana federalnego w towarzystwie dwóch oficerów, oddziału żołnierzy marynarki i kilkunastu majtków, w posiadaniu okrętu. Kapitan piękny, ogorzały, brodaty mężczyzna, z wyrazem rozkazującym spojrzał na niego badawczo.

— Kto pan jesteś? zapytał ostro.

— Jestem nadzorcą ładunku.

— W części właścicielem?

— Nie panie.

— A ten młody człowiek? wskazując na Arczybalda.

— Mój pomocnik.

— Dobrze. Gdzie wasz sternik.

Pan Polter, z rękoma w kieszeniach, i fajką w ustach, wysunął się naprzód.

— Nie wstydzę się nigdy siebie powiedział, ja jestem sternikiem.

— Jak się nazywasz? Zkąd pochodzisz?

— Zacharyasz Annibal Polter, z Massachuset.

Kapitan federalny odwrócił się do swoich ludzi.

— Okuć tego buntownika w podwójne kajdany.

Pan Zacharyasz Polter poprawił fajkę w ustach, zacisnął wargi i dał się uprowadzić.

Kapitan się znów odwrócił do De Benhama.

— Czy masz pan co pieniędzy na statku? zapytał.

— Około ośmiuset dollarów.

— Może jakie zastawne papiery, weksle?

— Mam, na domy w Liwerpool i w Londynie.

— Pokaż je pan i pieniądze także. Poruczniku Kissiek bądź łaskaw towarzyszyć więźniowi i uważać żeby niczego nie zataił. Potem odwracając się do kapitana Hay:—A pan czy nie masz prochu na okręcie, lub jakich amunicyi wojennych.

— Żadnych.

— Pokaż pan swoje papiery.

Kapitan *Ptaka Burzy* zeszedł do swojej kajuty po papiery z drugim federalnym porucznikiem.

Przez ten czas dowódca amerykański kazał wyprowadzić całą załogę, pytając każdego z ludzi o nazwisko, wiek i narodowość, i posyłał po dwóch na galeryą wiodącą z jednej strony okrętu na drugą, żeby im kajdanki na ręce założyć. To uczyniwszy, za powrotem tamtych na pokład zabrał pieniądze i przejrzawszy papiery okrętowe powiedział:

— Zdaje się, że jesteście wszyscy europejczykami oprócz sternika.

— Tak panie, odrzekł kapitan Hay.

— Tym lepiej dla was, tym gorzej dla niego. Wyszlę was wszystkich do Filadelfii, żeby sobie tam z wami postąpiono podług prawa. Poruczniku Kissiek, oddaję ci dowództwo tego okrętu.

To powiedziawszy poszedł w tył okrętu i oparłszy się o szafkę z bussolą, rozmawiał przez parę minut po cichu ze swoim porucznikiem, wydając rozkazy zapewne i spoglądając od czasu do czasu na swoich jeńców. Oddał potem papiery okrętowe i De Benhama nowemu dowódcy, zatrzymując tylko pieniądze i przygotował się do odjazdu.

Po jednemu przechodząc pomiędzy podwójnym rzędem żołnierzy, majtkowie stanowiący załogę *Ptaka Burzy*, byli sprowadzeni do dwóch wielkich łodzi czekających żeby ich przewieść na federalny statek. Wszyscy tak byli zabrani, oprócz naczelnego mechanika, dwóch palaczy, sternika, Arczy, De Benhama i kapitana.

Na miejsce uwięzionych ludzi, przybyło dwunastu uzbrojonych majtków amerykańskich, na ich czele był ogromny Meksykanin, nazwiskiem Manuel, który miał być drugim dowódcą po poruczniku Kissiek.

Pierwsza straż została potem urządzoną; mechanik i palacze byli posłani na dół w towarzystwie uzbrojonego majtka, flaga amerykańska została wywieszoną, porucznik i drugi dowódca zdjęli kapelusze i kapitan powrócił na swój okręt.

— Trzymaj tego zdrajcę okutego, panie Kissiek, były ostatnie jego słowa kiedy łódź już się oddalała.

— Dobrze. dobrze, kapitanie, odpowiedział porucznik.

I jeńcy pozostali sami na *Ptaku Burzy* ze swemi zwycięzcami.

Ciężki to był dzień dla nich, ciężki, smutny, nudny, powietrze było chłodne, niebo zachmurzone, okręt wlókł się wolno, robiąc zaledwie ośm węzłów na godzinę.

O drugiej po południu, kierując się ku północy, przypłynęli do portu Charleston, spotykając po drodze wiele okrętów, po większej części amerykańskich, z któremi zamieniali sygnały. Minął już czas ucieczki i wybiegów i gorączkowego pośpiechu; posuwali się wolno, smutno, a przy końcu podróży czekało na nich więzienie.

Arczy, nie mogąc nigdy zapatrywać się długo melancholicznie na życie, przyszedł niedługo do siebie i w parę godzin już wesoło rozmawiał z porucznikiem i z drugim dowódcą, ale kapitan Hay który utracił miejsce i najlepszą pensyą jaką kiedykolwiek pobierał, i De Benham który wiedział, że okręt i jego ładunek będą niezawodnie skonfiskowane, nie starali się nawet pozbyć swego smutku i przygnębienia. Szczególniej De Benhama myśli były gorzkie i ponure; kapitan Hay mógł dostać dowództwo innego okrętu udającego się na podobne wyprawy, stawały się one coraz częstsze, a przeszłe doświadczenie mogło przemawiać na jego korzyść, ale De Benham wiedział że już nigdy nie potrafi namówić pana Hardwicke do powtórzenia podobnych spekulacyj; zresztą osobista jego strata na bawełnie teraz uprowadzonej z Charleston dochodziła do dziesięciu lub dwunastu tysięcy funtów, a to wszystko było jeszcze niczem w porównaniu z krzywdą wyrządzoną mu przez schwytanie *Ptaka Burzy*, a zasadzającą się na stracie uroku i zaufania swego pryncypała, który nie tak skory zapewne się już okaże w powierzeniu mu nowych interesów.

Co do pana Zacharyasza Polter, siedzącego w kajdanach, zamkniętego i zaryglowanego w ciasnej i ciemnej komórce, i mogącego się tylko zabawiać nie bardzo wesołemi przypuszczeniami co do swojej przyszłości, los jego był jeszcze mniej do pozazdroszczenia.

Ku wieczorowi, kiedy porucznik i drugi dowódca zajęci byli w kajucie kapitana przeglądaniem ksiąg nadzorcy ładunków i papierów okrętowych, jeńcy pozostawieni na wolności, to jest De Benham, kapitan Hay, i Arczybald Blyth, znaleźli się prawie sami na pomoście; jeden tylko majtek przechadzał się na warcie, a drugi siedział u steru. Kucharz palił fajkę na progu kuchni, kilku innych wprawdzie stało przy windzie ale przysłuchiwali się z zajęciem nieskończonemu opowiadaniu jednego z nich, i dwóch jeszcze zamiatało i robiło porządek na pokładzie, słowem była to ta godzina zmroku, w czasie której ci co nie są na straży używają jedynej wolnej chwili w ciągu całej doby. Oprócz majtka pilnującego maszyn, wszyscy byli teraz na pokładzie, ale dwóch tylko w bliskości jeńców.

Wypada także powiedzieć, że porucznik Kissiek zabrał sobie kajutę kapitana, a Manuel wniósł się do tej jaką dawniej zajmował De Benham.

— Arczy, powiedział De Benham, idźno pomów z tym yankesem, mam słówko do powiedzenia kapitanowi.

Arczy zrobił co mu kazano, a tymczasem De Benham i kapitan opierając się jak najobojętniej o balustradę okrętu zamienili śpiesznie następujące słowa:

— Kapitanie Hay, powiedział pocichu De Benham, wielkie nieszczęście na nas spadło, ale czy niema żadnego ratunku?

Kapitan tylko spojrzał na niego.

— Co pan chcesz mówić, spytał.

— Chcę powiedzieć, że pan i ja, pan Blyth i sternik, mechanik Davis i dwóch palaczy to czyni siedmiu ludzi. Siedmiu przeciw czternastu.

Żywy rumieniec okrył ogorzałe czoło kapitana, ale nic nie odpowiedział.

— Zdaje mi się, ciągnął dalej De Benham, że z tych ludzi sześciu zawsze jest przy robocie, a sześciu odpoczywa na dole.

— Naturalnie, że się tak mieniają, zawsze tak bywa.

— Byłoby więc łatwem w każdej chwili pozamykać drzwi i zatrzymać tych sześciu znajdujących się na dole; a kiedy nas jest siedmiu moglibyśmy dać radę reszcie, to jest porucznikowi i drugiemu dowódcy, majtkowi kierującemu okrętem i tym którzy siedzą przy maszynie.

— Nie tylu nas jest, jednakże nie można rachować na Dawisa, ani na palaczy, są przykuci do maszyn, nie można rachować na Poltera, musimy się sami wyswobodzić nim go wypuścimy. Trzech nas tylko jest.

(D. c. n.)